

Juliusz Mieroszewski: Moja „Sienkiewiczowska” Wigilia

Nie widzieliśmy dotąd nigdy polskiego wojska. To byli nasi, nasi polscy ułani. Słowo „legionista” jeszcze wówczas nic nam nie mówiło. W przedpokoju dogasała lampa naftowa. Drzwi od werandy dygotały od uderzeń wichury. Lecz ja i brat, jak zamagnetyzowani krążyliśmy wokół tych czak i szabel.

Dom stał na wzgórzu. Wieczorem, gdy wiatr szedł nowotarskim wyżem – dach skrzypiał, a w dymnikach grało ponuro i żałośnie. Ciotka Janowa [1] przerywała wówczas czytanie i nasłuchiwalismy wszyscy. Przyjemnie było spojrzeć na żółtawe światło naftowej lampy, które spod zielonego klosza padało równym kołem na stół, na książkę i na blade, jakby zasuszone ręce ciotki Janowej. Pasiaste story w podwójnych oknach odcinały wnętrze pokoju od reszty świata. Gdy zaskrzypiał stary dach, lub gdy w dymnikach wiatr mocniej zagwizdał, lub szyby dźwiękły pod naporem halnego – przysuwaliśmy się z bratem [2] bliżej do stołu, do światła.

Przeczytaj również: Paweł Chojnacki – Londyńczyk na Święta

– Straszna noc – mówiła ciotka. Podkrecała lampę i czytała głośno dalej. To pan Kmicic jechał w tę noc krajem zalany szwedzkim potopem. Ten wiatr mógł przynieść tętent koni Bogusławowego pościgu. Głos ciotki Janowej brzmiał tajemnie, jakby zwierzała nam

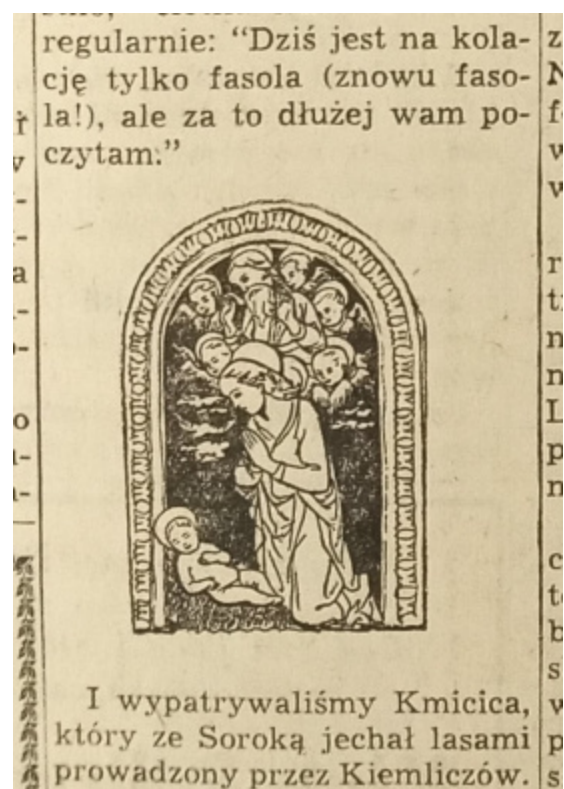
wielkie tajemnice: „...wierny Soroka wiozł swego pułkownika przez lasy głębokie, sam nie wiedząc dokąd jechać, co począć, gdzie się obrócić” [3].



Lasy głębokie... Myśmy wiedzieli co to są lasy głębokie. Za wzgórzem, na którym stał dom, ciągnął się nieprzebyty bór. Dniem była z niego artyleria austriacka ku okopom rosyjskim na Golcowie. Łożyskiem Sowlinki [4] szły w górę wozy z amunicją, żywnością i wszelkim sprzętem. Rojno i gwarno bywało zwykle do południa. Potem głosy wolno oddalały się, przechodziły w echa i w pogwar, aż cichło wszystko, a szum lasu zamykał się zgiełkiem dnia, jak toń wody nad topielcem. Bobrowaliśmy z bratem co dzień na skraju lasu, śledząc ruchy kolumn wojskowych. Zza pni drzew, z krawędzi wąwozu Sowlinki patrzyliśmy na ciężkie konie węgierskich Honwedów [5], które z trudem wydobywały z błota grzęznące wozy.

– To „rajtaria” szwedzka – mówił brat.

Wieczorem „rajtarzy” rozebrali opuszczoną leśniczówkę i przy ognisku gotowali swoje konserwy. Ciotka Janowa twierdziła, że Honwedzi kradną i rabują. Wobec mnie i brata zachowywali się jednak życzliwie.



Przez Limanową ciągnęły dniami obce wojska potopu. Golców zdobyto. Pułkownik Muhr padł wraz z czterdziestoma walecznymi huzarami [6]. Szły pułki bośniackie w fezach, szli barwni Honwedzi, ciągnęli Niemcy w szpiczastych hełmach, obciążonych zielono-szarym sukniem. Drogami dudniły działa ciągnięte przez spasioone pruskie perszerony – milami wlekły się treny. Wokół wałało się mnóstwo broni, amunicji, rzemieni, puszek, sprzączek i wiele ciekawych rzeczy, których nazw nawet nie znaleźliśmy. W nam tylko wiadomej kryjówce w lesie założyliśmy z bratem „lamus”. Tam znosiliśmy o zmierzchu „dobro

zdobyczne”. A więc jeden bagnet, dwie porzucone, ciężkie szable „rajtarskie” i pas z ładownicami. Byliśmy olśnieni. Po dłuższej naradzie wejście do lamusu założyliśmy ciężkim kamieniem i zasypaliśmy ziemią.

– Odkopimy, gdy „oni” sobie pójdą – powiedział brat.

Nie odezwałem się. W czasie drogi do domu myślałem jednak, gdzie „oni” mieli pójść i kto ich wypędzi.

Wieczorem, gdy cichło wszystko, ciotka Janowa mówiła regularnie: „Dziś jest na kolację tylko fasola (znowu fasola!), ale za to dłużej wam poczytam”. I wypatrywaliśmy Kmicica, który ze Soroką jechał lasami prowadzony przez Kiemliczów. Mleczne, ciepłe światło lampy padało na obrus i na białe, jakby zasuszone ręce ciotki Janowej. Słuchaliśmy – zapatrzeni. Rajtarów szwedzkich widzieliśmy Honwedami, lasy Ełku szumiały podobnie jak bór limanowski, liczyliśmy z Kiemliczami dobro zdobyczne – łakomie, namiętnie myśląc o broni. Mieliśmy dwie szable, ładownice, bagnet i pas. Ach, gdyby Kiemlicze znali nasz lamus, wykradliby na pewno te szable rajtarskie. Ale nikt nie zna naszej kryjówki – ho, ho – nikt!

Tuż przed Bożym Narodzeniem wszystko nagle ucichło. Limanowa i najbliższe wsie znalazły się w pasie niczym. Nie było gazet, nie było telefonów, nie było radia – człowiek tyle wiedział co dojrzał własnymi oczyma.

Do owej pamiętnej wieczery wigilijnej zasiedliśmy we trójkę. Ojciec [7], który był jedynym lekarzem w Limanowej, nie wrócił na noc ze szpitala. Mniej rannych ewakuowano – pozostali tylko ci, którzy nie nadawali się do transportu. W milczeniu łamaliśmy się z ciotką Janową opłatkiem a potem szybko przełknęliśmy barszcz postny z fasolą (z wojskowej austriackiej konserwy). Nie było ani choinki, ani prezentów gwiazdkowych, ani słodczy. Ciotka dorzuciła drewno do pieca, usiadła w swym fotelu i podkręciwszy lampę zaczęła czytać. Polami szła kurniawa. Dymniki grały jak organy, dach skrzypiał jak wiązania okrętu.

– Straszna noc – szepnęła ciotka.

Golców zdobyto. Pułkownik
Muhr padł wraz z 40 walecz-
nymi huzarami. Szły pulki bo-



śniackie w fezach, szli barwni
Honwedzi, ciągnęli Niemcy w

Wicher za oknami niósł nową melodię. Ciotka jeszcze czytała swym
tajemnym, matowym głosem, lecz ja już nie słuchałem. Tam po drodze
z Męciny szły konie. To na pewno nie były „rajtarskie” konie

Honwedów. Tętent rósł. Fala wichru niosła rytm kawalkady, coraz silniejszy, coraz bliższy. Ciotka Janowa przestała czytać. Brat przysunął się bliżej stołu, bliżej światła. To chyba Kmicic – pomyślałem. Nagle tętent rozdzwonił się po kamienistym wzgórzu, zakotłował na podworcuciu i ścichł. Ciotka Janowa wolno wstała i idąc ku drzwiom żegnała się pobożnie.

– Daj Boże, żeby to nie byli kozacy – szepnęła.

Do drzwi pukał ktoś energicznie. Z podwórza dobiegał śmiech ludzi i rżenie koni. Ciotka wolno odsuwała ciężkie rygle. Przez uchylone drzwi do przedpokoju widzieliśmy, że jej blade, zasuszone ręce drżały, gdy przekręcała klucz w zamku.

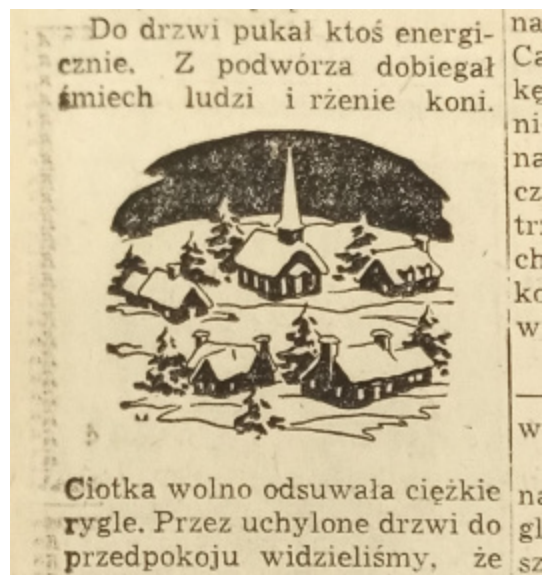
– Boże, to nasi!



Okrzyk ciotki Janowej zlał się z tupotem ciężkich butów i dźwiękiem ostróg. Staliśmy z bratem w drzwiach jadalni. Oczy mieliśmy pełne Kmicica, walk i koni. Przed nami – jak na scenie – kłaniali się ciotce Janowej wspaniali kawalerowie w wysokich czakach ułańskich. Na ramionach zarzucone mieli z fantazją ośnieżone kożuszki kawaleryjskie. Lśniły się srebrne orły na czakach, pobrzękiwały o posadzkę nisko na rapciach opuszczone szable [8]. Całowali dwornie ciotkę w rękę – coś mówili, ale ja i brat nie słyszeliśmy nic. Ledwo nam naszych ośmioletnich oczu starczyło, aby patrzeć, patrzeć... Tak przecież na sztychu wyglądał dziad Józef [9]. Tylko kołnierz munduru miał wyższy i bokobrody.

– Będą bili teraz „rajtarów” – szepnął brat szczypiąc mnie w ramię.

– Chłopcy, to legioniści, to nasi ułani – powiedziała nagle ciotka Janowa zauważywszy nas wreszcie znieruchomiątych ze zdumienia.



Dom rozdzwonił się, napełnił brzękiem kluczy, śmiechem, nawoływaniem. Gotowano herbatę, wybiegano do koni w ogrodzie, budzono starego Grzegorza. W przedpokoju na pustej scenie epopei pozostaliśmy tylko my i rekwizyty. Na stoliku przed lustrem stały czeka ułańskie ze srebrnymi orłami, leżały szable i porzucone w pośpiechu kożuszki. Krążyliśmy z bratem w milczeniu cicho, nabożnie wpatrując się w każdy szczegół, ogarniając każdy drobiazg. To był w naszych dziecinnych oczach zarówno fragment po raz pierwszy czytanego Potopu – jak i fragment historii rodziny – bo przecież jakby ożyły ta broń i mundury ze starych dagerotypów.

Nie widzieliśmy dotąd nigdy polskiego wojska. To byli nasi, nasi polscy ułani. Słowo „legionista” jeszcze wówczas nic nam nie mówiło. W przedpokoju dogasała lampa naftowa. Drzwi od werandy dygotały od uderzeń wichury. Lecz ja i brat, jak zamagnetyzowani krążyliśmy wokół tych czak i szabel. Wreszcie przemogłem wzruszenie i ostrożnie ściągnąłem ze stołu jedną z nich. Była ciężka, ale przecież lżejsza od „rajtarskich” szabel Honwedów.

– Polskie szable są lżejsze od szwedzkich – zawyrokował mój brat. – Tylko dragoni mają ciężkie szable podobne do rajtarskich.

– Ale to są ułani, polscy ułani – odpowiedziałem.



Mój brat sięgnął po drugą szablę. Ręce mi drżały, [czułem,] że twarz mi płonie. Jest coś niewytłumaczalnego i potężnego w tym pierwszym zetknięciu z bronią. Szukano po całym domu, aby wysłać nas spać. Dorośli nigdy nie rozumieją dzieci. Ciotka Janowa gniewała się. Ułani pili herbatę i jedli wielkie kromki chleba posmarowane marmeladą [10] buraczną. Jeden z nich wyciągnął ku mnie rękę i odezwał się:

– Widziałeś kiedyś polskich ułanów?

– Nie...

– To zapamiętaj sobie dobrze ten wieczór wigilijny!

Mój brat stał nachmurzony w drzwiach. Wreszcie przemógł się i zapytał:

– Czy panowie nie jesteście polskimi dragonami?

słym. Biedak wciąż podejrze-
wał, że skoro szable w przed-
pokoju są takie ciężkie jak
„rajtarskie”, to nasi goście mu-
szą być dragonami jak Roch
Kowalski, którego „pani Ko-



walska” była taka ciężka.
Chciał się więc upewnić czy
ciotka się nie pomyliła nazy-
wając przybyłych ułanami. To
była ważna rzecz i tylko doro-
śli mogli taką sprawę zbyć

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a ciotka Janowa odprowadziła nas do pokoju. Zaspana Józia odprowadziła nas do pokoiku na pięterku. Mój brat miał łzy w oczach. Ja jeden go rozumiałem – nie byłem przecież dorosłym. Biedak wciąż podejrzewał, że skoro szable w przedpokoju są takie ciężkie jak „rajtarskie”, to nasi goście muszą być dragonami jak Roch Kowalski, którego „pani Kowalska” była taka ciężka. Chciał się więc upewnić czy ciotka nie pomyliła się nazywając przybyłych ułanami. To była ważna rzecz i tylko dorośli mogli taką sprawę zbyć śmiechem, którym zwykli pokrywać swój brak wyobraźni i tępotę.

Tej nocy długo nie mogliśmy zasnąć. Słyszałem poprzez szum wichru szcęk kopyt o bruk przed zajazdem, a potem tętent koni, który cichł, aż pochłonęła go noc.

– Jutro odkopimy lamus – w pewnej chwili odezwał się brat.

– Dlaczego?

– Bo przyjechali nasi i już nikt nie zabierze nam broni.

W dymnikach grało, a gdy wiatr opadł, podpłynął ku oknu szum
bliskiego lasu.



„Dziennik Polski” (Detroit), 24 grudnia 1954.

Przypisy:

[1] Według Piotra Wandycza majątek „należał do krewnych, ale dr [Kazimierz] Mieroszewski bywał niechętnie we dworze, a synowie również starali się go unikać”: „Wychowywali się trochę dziko i należeli do trudnych dzieci czy nastolatków. Pod Limanową rozegrała się w grudniu 1914 r. jedna z większych bitew, która wywarła trwałe wrażenie na ośmioletnim Julku”, P. Wandycz, *O Mieroszewskich i Mieroszewskim*, w: J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, cz. 1, wybrał i wstępem poprzedził Krzysztof Pomian, przypisami i indeksami opatrzyli J. Krawczyk i K. Pomian, szkicem o Mieroszewskich i Mieroszewskim uzupełnił P. Wandycz, Warszawa 1999, s. 38.

[2] Sobiesław Mieroszewski (1909–1948) – trzy lata młodszy od Juliusza, w dorosłym wieku absolwent Wyższej Szkoły Handlowej w Poznaniu; 1939–1940 w podchorążówce we Francji, 1940–1944 internowany w Szwajcarii; żołnierz „Maquis”. Od 1945 roku w 2 Korpusie we Włoszech, później – w Wielkiej Brytanii w Polskim Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia. „Dekorowany bojowymi

odznaczeniami polskimi, francuskimi i brytyjskimi. Zmarł po długiej chorobie 22 lutego 1948 w Liverpoolu”, nekrolog podpisany przez brata, „Orzeł Biały. Polska Walcząca o Wolność”, 13 marca 1948.



[3] Henryk Sienkiewicz, *Potop*, tom 2, wydanie pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego, Warszawa 1968, rozdział 1, s. 3.

[4] Sowlinka – potok, prawy dopływ Łososiny o długości 14,27 km. Płyne przez Starą Wieś i miasto Limanowa w województwie małopolskim, powiecie limanowskim. Na wysokości około 515 metrów, powyżej Golcowa, z lewej strony uchodzi do niej Potok Starowiejski.

[5] Honwedzi – potoczna nazwa Królewsko-węgierskiej Obrony Krajowej (węg. *A Magyar királyi honvédség*, niem. *königlich ungarische Landwehr*). Regularna formacja wojskowa Krajów Korony Świętego Stefana, utworzona w 1867 roku, jeden z czterech rodzajów sił zbrojnych Monarchii Austro-Węgierskiej.

[6] Bitwa o dobrze ufortyfikowane wzgórze Jabłonec miała miejsce 11 grudnia 1914 roku i stanowiła epizod operacji limanowsko-łapanowskiej (7–12 grudnia). Zakończyła się sukcesem wojsk austro-węgierskich i powstrzymaniem rosyjskiej ofensywy w kierunku Krakowa oraz Śląska. W bitwie uczestniczyli – głównie walcząc wręcz – spieszni węgierscy huzarzy. Miejsce zmagania nazywane czasem „węgierskim Monte Cassino” do dziś jest obecne w narodowej pamięci Madziarów. Jeden ze skwerów w Budapeszcie otrzymał nazwę „Limanowa” (choć trzeba przyznać, że na obrzeżach rozbudowującej się do końca współ-stolicy imperium), a bohaterski oficer (od cesarza Franciszka Józefa) pośmiertnie tytuł „von Limanowa”. Oberst Ottmár Muhr spoczywa wraz ze swymi żołnierzami na Cmentarzu nr 368 na Jabłońcu – Limanowej.



Fot. Paweł Chojnacki, Budapeszt 2024

[7] Kazimierz Mieroszewski (? – 1939) – wcześniej lekarz w jednostkach austro-węgierskiej marynarki wojennej, zaczem egzotyczny podróżnik (przekaza bogate zbiory Muzeum Etnograficznemu w Krakowie), wówczas lekarz powiatowy w Limanowej. W jego domu gościł podczas bitwy pod Limanową 7/8 grudnia 1914 r. brygadier Józef Piłsudski, co upamiętnia tablica na istniejącym do dziś domu przy ul. Matki Boskiej Bolesnej 35. Samotnie wychowywał synów po śmierci w 1915 r. ich matki Marii z Dunikowskich.

Pisał Wandycz, że „ponoć usypiał ich skandując greckie i rzymskie heksametry – oraz podkreślając, że nie są oni nic wdzięczni światu, a świat im”. Był „abnegatem nieprzywiązującym wagi do wygod i konwenansów i odludkiem – cechy występujące również u Juliusza, zwłaszcza w starszym wieku. Stosunek dra Mieroszewskiego do tradycji ilustrował fakt, iż kryształów rodzinnych używał do robienia analiz”: „Pod koniec życia zafascynowało go esperanto, któremu poświęcał gros uwagi. Umarł po wybuchu wojny 1939 r. dobrowolną śmiercią głodową”, P. Wandycz, op. cit., s. 37.

[8] To przybyli ułani z dwuszwadronowego wtedy dywizjonu, z którego wyłoni się w styczniu 1916 roku 1. pułk ułanów Legionów Polskich, który „powstał bez żadnych uprzednio istniejących «ośrodków» czy kadr, rodząc się w ogniu walk ze szlachetnego uporu jednostek i nie liczącego się z trudnościami porywu, wzrastając w siłę w miarę trwania tych walk”. Zaczątek formacji stanowił 2 sierpnia 1914 roku legendarny, 7-osobowy patrol pod dowództwem Władysława Beliny-Prażmowskiego, J. Żuławski, *Rodowód i organizacja 1. pułku ułanów Legionów Polskich*, „Przegląd Kawaleryjski” 1933, r. 10, nr 7 (93), s. 3–4.

Należy wspomnieć, że mieszkający w Londynie Mieroszewski mógł zetknąć się raz jeszcze z przebywającymi na emigracji „beliniakami”: gen. Januszem Głuchowskim (uczestnikiem pierwszego patrolu), płk. Józefem Smoleńskim, płk. Leonem Strzeleckim i mjr. Antonim Skibą. Rozmowę z nimi w 40-lecie wymarszu Pierwszej Kompanii Kadrowej przeprowadził 6 sierpnia 1954 roku dla Radia Wolna Europa Zygmunt Nowakowski. Być może właśnie audycja ta natchnęła publicystę do rychłego podzielenia się dziecięcym wspomnieniem? Nagranie dostępne jest na falach portalu „Radia Wolności”:

<https://www.polskieradio.pl/68/862>

[9] Wśród licznych antenatów Juliusza, którzy zapisali się w historii Rzeczypospolitej znajdziemy dwóch przodków o tym imieniu. Prawdopodobnie to nie Józef Mieroszewski herbu Ślepowron (1760–1833), hrabia pruski, szambelan króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, patriota zaangażowany w powstanie listopadowe. Wydaje się, że chodzi o innego Józefa – syna właściciela Suliszowa Jana Kantego Mieroszewskiego i Anny z Dembińskich; dwudziestoletniego uczestnika wyprawy Napoleona na Moskwę, kawalera Virtuti Militari, później adiutanta gen. Józefa Zajączka. Jako podpułkownik uczestniczył w powstaniu listopadowym i wyprawie na Litwę korpusu gen. Henryka Dembińskiego. Potem – emigrant we Francji i autor eposu rycerskiego o insurekcji 1830–1831 pt. *Tułacz, poema wojskowe w dziesięciu śpiewach*, dedykowanego księciu Adamowi Jerzemu Czartoryskiemu i wydane z rękopisu przez Michała Janika oraz krakowskie Towarzystwo Miłośników Książki w 1933 roku.

Ze słowa wstępnego do tego bibliofilskiego cymelium czerpiemy również informację, że zmarł „w Krakowie w r. 1860 na chorobę, zwaną wówczas «czarną melancholią»” (s. XIII).

[10] Zachowano archaiczną formę. Powyższy tekst o charakterze wspomnieniowym i dokumentarnym można by otynkować jeszcze większą liczbą przypisów, zwiększając jego gabaryty niczym termoizolacja opatulająca szczupłe swą urodą domy. Noty tyczyłyby np. historycznych szczegółów militarnych przewag ułanów Beliny, o które powiastka zahacza. Wtedy jednak komentarz przerósłby objętościowo prezentowany materiał źródłowy, który traktowany został tutaj jako wypowiedź czysto literacka. Poprawiono gdzieś pisownię oraz interpunkcję podług obowiązujących dziś zasad, rozwinięto liczebniki i skróty, a w jednym przypadku uzupełniono w nawiasie kwadratowym ewidentnie zgubione przez zecerę słowo.

Opracowanie tekstu i przypisy: Paweł Chojnacki